

Patriotyzm z punktu widzenia Górnolazaka

11 października 2017

„Naprawę państwa należy zaczynać od naprawy pojęć” – Konfucjusz.

Dylematy związane z zobowiązaniami wobec ojczyzny nie są właściwe tylko dwukulturowym Górnolazakom, muszą się z nimi mierzyć i muszą podejmować podobne wybory tożsamości narodowej również emigranci, których jest coraz więcej. Może się zdarzyć każdemu, że przyjdzie moment, kiedy wydarzenia zakwestionują gładką oczywistość jego dotychczasowej samoidentyfikacji i zmuszą go do jasnego określenia się, kim jest i kim chce być. Nie jest dobrze, kiedy życiowych wyborów dokonujemy w sposób bezrefleksyjny, intuicyjnie, bez głębszego namysłu. Może się bowiem, po niewczasie, okazać, że wybraliśmy źle, albo co gorsza, nie był to w rzeczywistości nasz wybór, lecz ulegliśmy perswazji lub zbiorowemu oszołomieniu. „Gdy zagrają do boju, rozum skrywa się w trąbce”, powiada przysłowie.

NA FARMACH W HOLANDII

Przycinając krzewy na farmach Belgii i Holandii miałem czas i powody do rozpatrywania swojej sytuacji etycznej. W zasadzie – myślałem – skoro już wywalczyliśmy niepodległość, powinienem teraz budować wolną Polskę. Okazało się, że nie jestem Polsce potrzebny z moimi umiejętnościami. Jakże zatem mam zobowiązania wobec kraju, który mnie nie potrzebuje? Może, gdyby nie słaba pozycja Polski w negocjacjach z Unią Europejską, dostalibyśmy większe „kwoty” mleczne, pomidorowe, ogórkowe itd., moglibyśmy więcej produkować i mógłbym pracować w kraju. Ale... ile bym w kraju zarobił? Ze cztery – pięć razy mniej. Za te pieniądze nie byłbym w stanie utrzymać rodziny. Jak powinno w takiej sytuacji wyglądać patriotyczne podejście? Mam się modlić o zachowanie pracy w Holandii czy o przyznanie

Polsce większych kwot? Jedno wyklucza drugie.

Przed takimi dylematami – myślałem sobie – stają wszyscy emigranci, niezależnie od ich stosunku do starej ojczyzny. W pewnym momencie dochodzi do konfliktu interesów. Moi krajanie, Górnolazacy, przenoszący się do Niemiec po uzyskaniu w konsulacie „potwierdzenia niemieckiego obywatelstwa”, nie zaprzatają sobie tym głowy, starając się jak najszybciej wtopić w nowe środowisko. Najczęściej nawet nie rozmawiają z dziećmi po polsku – dla ich dobra, aby akcent ich nie zdradzał. Polski patriota będzie kultywował kulturę swojego kraju, uczył dzieci polskiego języka, utrzymywał więź ze starą ojczyzną, ale cokolwiek by nie robił, pozostaje faktem, że ją pozostawił. Pracuje teraz dla innych, tzn. dla siebie i przy okazji dla innych, z obcej wspólnoty narodowej. W jego interesie leży teraz, żeby jego nowa ojczyzna – Niemcy, USA, Kanada, Australia itd. – rosła w siłę i dobrobyt.

ZAKOCHAŁA SIĘ W AMERYKANINIE

Dylemat emigranta wyraźnie dostrzegłem niedawno przysłuchując się dyskusji o córce znajomych zakochanej w Amerykaninie, mieszkańcu Nowego Jorku. Ci znajomi to rodzina bardzo zacna, patriotyczna, zasłużona w latach okupacji. Dziewczyna otrzymała najlepsze patriotyczne i religijne wychowanie, zna języki, ukończyła jedną z renomowanych polskich uczelni. Postanowiła pojechać za chłopakiem i żyje teraz z nim, w Nowym Jorku, bez ślubu. Chłopak załatwił jej dobre stanowisko w międzynarodowej korporacji i odpowiednie uposażenie.

Próbowaliśmy to oceniać z moralnego punktu widzenia. Czy dziewczyna ma moralne prawo do tego? Czy pochodzenie z tak patriotycznego domu, wykształcenie, które zdobyła w Polsce, dzięki naszym podatkom, do niczego nie zobowiązuje? Jak powinni zareagować rodzice?

Kwestia spolaryzowała zebranych.

– To jest zdrada – mówili jedni. – Jeśli wszyscy młodzi

wykształceni wyjadą, to kto zostanie i co będzie z Polską? Jak można uważać się za patriotę i nie poczuwać się do żadnych zobowiązań wobec ojczyzny? W końcu to, kim jest, zawdzięcza Polsce, polskiej tradycji i wychowaniu.

– Czego się czepiacie dziewczyny? – argumentowali drudzy. – Przecież każdy ma prawo do szczęścia. W Piśmie św., w nauce Kościoła nie ma nic o obowiązku poświęcenia się dla wspólnoty narodowej. Nasza ojczyzna jest w niebie, a św. Paweł napisał, że jeśli w jakimś mieście jest wam źle, to przenieście się do drugiego. Bóg zbawia człowieka indywidualnie, a nie całe narody.

ŚCIAĞALI BUTY POWSTAŃCOM

Z patriotyzmem wiąże się więcej dylematów, niekoniecznie związanych z kwestią emigracji. Swego czasu burzę wywołał Władysław Frasyniuk, przypominając o chłopach, którzy ściągali buty poległym powstańcom. Myślę, że nie trzeba wyjaśniać, o co chodzi, nieorientowanych odsyłam do opowiadania Stefana Żeromskiego „Rozdziobią nas kruki, wrony”. Wł. Frasyniuk chciał utrzyć nosa ludowcom, uważającym chłopstwo za sól ziemi, ale niezależnie od intencji miał racje. Chłopi w okresie zaborów czuli się poddanymi carów i cesarzy i ani im w głowie było się buntować. Za swoich ciemężycieli uważali raczej polskich panów, szlachtę, na którą musieli pracować. Tę szlachtę, która przechowała i polską kulturę, i polską tradycję. „Car im na przekór chłopów oswobodził”, pisał Czesław Miłosz. Chłopi nie byli wtedy patriotycznie nastawieni, a przecież stanowili chyba z 80 proc. ówczesnego społeczeństwa.

RZUĆ KARABIN

Kolejny dylemat związany z zagadnieniem patriotyzmu, dobrze wyraził Julian Tuwim w wierszu „Do prostego człowieka”: „Gdy znów do murów klajstrem świeżym przylepiać zaczną obwieszczenia, gdy „do ludności”, „do żołnierzy” na alarm

czarny druk uderzy i byle drab, i byle szczeniak w odwieczne kłamstwo ich uwierzy, że trzeba iść i z armat walić, mordować, grabić, truć i palić; gdy złączą na tysięczną modłę ojczyznę szarpać deklinacją i łudzić kolorowym godłem, i judzić „historyczną racją” o piędзи, chwale i rubieży, o ojcach, dziadach i sztandarach, o bohaterach i ofiarach; gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin pobłogosławić twój karabin, bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba, że za ojczyznę – bić się trzeba; kiedy rozścierwi się, rozchami wrzask liter z pierwszych stron dzienników, a stado dzikich bab – kwiatami obrzucać zaczną „żołnierzyków”. O, przyjacielu nieuczony, mój bliźni z tej czy innej ziemi! Wiedz, że na trwogę biją w dzwony króle z panami brzuchatemi; wiedz, że to bujda, granda zwykła, gdy ci wołają: „Broń na ramię!”, że im gdzieś nafta z ziemi sikła i obrodziła dolarami; że im coś w bankach nie sztytuje, że gdzieś zwęszyli kasy pełne lub upatrzyły tłuste szuje cło jakieś grubsze na bawełnę. Różnij karabinem w bruk ulicy! Twoja jest krew, a ich jest nafta! I od stolicy do stolicy Zawołaj, broniąc swej krwawicy: Bujać – to my, panowie szlachta!”.

Jako Górnoślązak, podobnie jak Julian Tuwim, podejrzliwie traktuję wszelkie nawiązywania do poświęcenia się za ojczyznę, i w ogóle do wszelkiego bezinteresownego poświęcania się w imię szczytnych haseł. Nie przechodzą mi ciarki po grzbiecie, kiedy słyszę „nie pytaj, co ojczyzna zrobiła dla ciebie, pytaj, co ty możesz zrobić dla ojczyzny” (J. F. Kennedy). Zbyt wiele razy wykorzystywano patriotyczne uczucia do niecznych celów. Przypomnijmy sobie obrazy z sowieckich czy hitlerowskich wieców, a również i naszych, tych z PRL, tę dumę z bycia Niemcami czy ludźmi radzieckimi, czy Polakami. Za ideały można i warto umierać, ale nie wolno dać się nabierać na wezwania, za którymi stoi walka o władzę. Mnie trzeba do poświęcenia się przekonać.

DOŚWIADCZENIE ŹRÓDŁOWE

Konfucjusz napisał był, że „naprawę państwa należy zaczynać od naprawy pojęć”. Żeby rozliczać z patriotyzmu, musimy wiedzieć,

czym patriotyzm jest. Aby uświadomić sobie dzisiaj, czym jest ojczyzna, i uwolnić naszą świadomość od ideologicznych zafałszowań, trzeba wrócić do najbardziej pierwotnych, źródłowych doświadczeń, kiedy patriotyzm ujawniał się w postaci jeszcze czystej, niezafałszowanej ideologicznymi naleciałościami.

Kiedyś, w czasach plemiennych, przedpiastowskich, słowiańskie społeczności zorganizowane były na dwóch tylko poziomach: naturalne wspólnoty sąsiedzkie, tzw. opola, oraz wiec, jako rada całego plemienia, podejmująca decyzje jednogłośnie. W opolu rodziny gospodarowały na swoim, co wykarczowały to było ich, prywatne. Rzeki, jeziora, łąki, na których wspólnie wypasano bydło, dąbrowy, gdzie wspólnie wypasano świnie, stanowiły wspólną własność. Dzisiaj powiedzielibyśmy – własność gminną albo wspólne dobro.

Jeśli nieprzyjaciół próbował zagarnąć coś z tego, co stanowiło wspólną własność, wszyscy stawali do walki. Czy dlatego, że tak ich wychowano? Być może. Czy tak im nakazywała tradycja? Chyba też. Może poczucie plemiennej dumy? Również. Nie ulega jednak wątpliwości, że decydującym motywem pozostawał osobisty interes. Z tego wspólnego dobra korzystali wszyscy, broniąc go, każdy bronił swoich korzyści, jaki dawało wypasanie świń w dąbrowach, bydła na łąkach i łowienie ryb w jeziorach i stawach należących do opola. Wspólne dobro bezpośrednio przekładało się na dobro osobiste. Jeśli sąsiedzi zagarnęli dąbrowę, to po prostu nie mieli gdzie wypasać swoich świń. Dzisiaj, przy znacznie wyższym stopniu skomplikowania struktury społecznej, świadomość, że dobro wspólne jest też moim własnym dobrem i nie można go zaniedbywać, nie tracąc czegoś cennego, niestety zanikła.

OJCZYZNA – ZBIOROWY INTERES

Nie wiem, czy zarysowany obraz wspólnoty opola właściwie oddaje fenomenowi patriotyzmu, dobrze jednak ilustruje, co chcę powiedzieć: nie ma patriotyzmu bez udziału w dobru wspólnym.

Nawoływanie chłopów pańszczyźnianych do walki o wolną Polskę, w której ich status nie różnił się od statusu niewolnika, miało się z celem i było nieuczciwe. Oni nie mieli udziału w dobru wspólnym, jakim była ta Polska.

Patriotyzm to właściwe zrozumienie swojego interesu, tylko tyle i aż tyle. Czy należy to rozumieć w myśl hasła: „Tam ojczyzna, gdzie chleb”? I tak, i nie. Ludzie mają nie tylko prawo, ale i obowiązek zadbać o interes własny i swojej rodziny, mają obowiązek zadbać o własne dobro, rozejrzeć się za lepszymi warunkami do życia, poszukać szczęścia, rzecz w tym – i to jest istota sprawy – jak to dobro rozumieją. Moim krajanom, Górnoślązakom, w Niemczech wystarcza, że mogą sobie tam pozwolić na luksusowy samochód, wczasy w znanych kurortach i po latach wyrzeczeń – na domek z ogródkiem. Można im zazdrościć, ale można też i współczuć tak zawężenia aspiracji życiowych.

Właściwie rozumiany patriotyzm wyrasta z właściwego rozumienia osobistego interesu, takiego, które dostrzega własny interes również w dobru wspólnym. Tym interesem jest zakorzenienie w określonej wspólnotcie, religijnej, społecznej, środowiskowej, a – przede wszystkim – narodowej, w narodowej kulturze i języku, a nawet w ojczystym krajobrazie. Decydując się na emigrację, zrywamy całą sieć powiązań, które dają nam poczucie tożsamości i posiadania swojego miejsca na ziemi. No i, poważnie ryzykujemy utratę czegoś, co nazywamy podmiotowością. Tylko tyle i nic więcej. Nie ma zdrady w emigracji, jeśli już, to – samego siebie. Ojczyzna bowiem to nie zbiorowy obowiązek, ale zbiorowy interes.

ZAKORZENIENIE

Na czym polega zakorzenienie, rozumiemy intuicyjnie. Jest to wszystko to, co powoduje, że w świecie czujemy się swojsko, u siebie, jak w domu. To oswojenie z otoczeniem, krajobrazem, mentalnością środowiska, a nawet z systemem administracyjnym. To szczególny system wartości, którym nasiąkamy od

dzieciństwa. Nie uświadamiany sobie tego, aż nie zetkniemy się z przedstawicielami innych nacji. To utrwalona już sieć więzi międzyludzkich. To groby przodków, które wiążą człowieka z miejscem, gdyż przez kilkupokoleniowe zamieszkiwanie w jednym miejscu rodzi się szczególna więź z ziemią i krajobrazem, to poczucie identyfikacji z miejscem, poczucie „prawomocności” zamieszkiwania w tym miejscu. Zakorzenie to wreszcie szczególny styl życia, którego człowiek uczy się, wyrastając w określonym środowisku, styl życia obejmujący stosunek do starszych, relacje rodzinne, sposób wychowania dzieci, zwyczaje, sposób przeżywania wiary itp.

Kiedy na Zachodzie oszukał mnie pracodawca, zrywając umowę bez mojej winy, myślałem, żeby gdzieś się poskarżyć, złożyć zażalenie – przecież musi być prawo, które karze takie praktyki... ale jak to było zrobić, kiedy tego prawa nie znałem? W Polsce – co innego, udałbym się chociaż do Urzędu Pracy. Czy tu w Holandii jest coś takiego, jak Urząd Pracy? Jak już dobrze trafię, to pojawi się bariera językowa... W takich to sytuacjach człowiek uświadamia sobie, że należy do innego kręgu kulturowego, do innej cywilizacji. W swoim kraju nawet jeśli natrafię na nieuprzejmą urzędniczkę, wiem, jak się zachować. Wiem, jak zażartować, żeby nie pogorszyć sytuacji. W Holandii musiałem się liczyć, że może to zostać źle odebrane. W Polsce wiedziałem, że skutkuje telefon „z góry”, można było próbować szukać pomocy u dobrze ustawionych przyjaciół. Czy podobnie skutkuje to w Holandii? Być może tylko pogorszę swoją sytuację. W Polsce wiedziałbym, jak napisać i gdzie złożyć odwołanie, w Holandii – nie. Obeznani jesteśmy ze strukturą i procedurami swojego państwa i już to daje poczucie, że możemy wpływać na decyzje, które nas dotyczą.

PODMIOTOWOŚĆ

Podmiotowość to właściwie synonim wolności. Jestem podmiotem swoich działań, kiedy sam o nich decyduję. Simone Veil, Żydówka zafascynowana chrześcijaństwem, pisała, że człowieka wolnego od niewolnika różni stosunek do czasu. Wolny człowiek

jest panem swojego czasu, może planować. Wielu ludzi dzisiaj żyje w zależnościach na wpół niewolniczych, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Wielu tak przyzwyczaja się do biernego reagowania na polecenia, że już nie jest w stanie wykrzesać coś z siebie, co by miało charakter własnej inicjatywy.

Pracowałem kiedyś w Austrii na budowie fabryki silników samochodowych dla wielkiego niemieckiego koncernu. Sami Górnoślązacy, połowa z Niemiec, połowa z Polski. Montowaliśmy system rynien do odprowadzania olejów. Kiedyś odkryliśmy w projekcie ewidentny błąd, odgałęzienie rurociągu wychodziło wprost na ścianę. Wystarczyło skorygować jeden z wymiarów o metr i można było montować bez obawy. Należało to zgłosić, ale brygadzysta – mieszkający na stałe w Niemczech – nie mógł się zdecydować .

– Już mnie tyle razy majster op..., że się mądrzę – powiedział.
– My jesteśmy od roboty, od myślenia są Niemcy.

Zadecydowaliśmy, że powycinaliśmy blachy jak na rysunku, a dopiero potem brygadzysta zgłosił majstrowi, że coś nie gra.

Przyszło kilku fachowców i przez godzinę deliberowali, jak błąd naprawić. W końcu kazali nam wszystko zaspawać z powrotem i poprawili wymiar na rysunku. I wobec nas ani słowa krytyki za bezmyślność. Myślenie nie należało do zakresu naszych obowiązków.

Dla uczciwości dodam, że z punktu widzenia Niemców mogło to wyglądać inaczej. W ogólnonarodowym podziale pracy dostaliśmy montowanie rynnociągów. Powinniśmy się byli skupić na właściwym wykonywaniu swoich zadań, a nie udzielać innym rad w sprawach, która ani do nas nie należą, ani się na nich nie znamy.

TOŻSAMOŚĆ

Zdaniem licznych dziś ideologów multi-kulti, nasza tożsamość nie jest niezmienna, można wrosnąć w inną społeczność, a

właściwie to żyjemy już w świecie pluralistycznym, gdzie rozmaite kultury uzupełniają się i dopełniają. Kiedyś „Gazeta Wyborcza” opublikowała kilka reportaży o niebieskookich, blondwłosych dzieciach odebranych polskim rodzicom i przekazanych na wychowanie rodzinom niemieckim. Prawda o swoim pochodzeniu nie miała dla tych dzieci właściwości wyzwalających. Jeśli dobrze pamiętam, tylko jedno zdecydowało się wrócić do rodzonej matki. Inne przeżywały to boleśnie, wszystkie one czuły się już Niemcami.

Nie geny zatem, i nie jakiś pierwotny zew krwi określał, kim są, ale wychowanie, środowisko, w którym żyli i którego stali się częścią. Podobnie było kiedyś z janczarami, doborowymi oddziałami piechoty tureckiej, które tworzone z kilkunastoletnich chłopców chrześcijańskich, porywanych na wojnach lub przymusowo odbieranych chrześcijańskim rodzicom w imperium sułtańskim. Wychowanie wyciska w młodych latach nieodwracalne znamię na duszy człowieka, którego później nie sposób usunąć. Owszem, można zrzucić starą skórę i wejść w nową, można opanować nowy język do perfekcji, przyjąć wszystkie obyczaje i system wartości kraju, do którego się wyemigrowało, ale coś w duszy zawsze pozostanie, jakieś poczucie zdrady samego siebie.

Najmocniej determinuje nasze myślenie i odczuwanie język. Na Zachodzie doświadczyłem, jak bardzo. Inny język narzuca inne myślenie i inne odczuwanie. Kiedy zaczynamy myśleć po niemiecku, angielsku, francusku stajemy się Niemcami, Anglikami lub Francuzami, obojętnie czy się nimi czujemy, czy nie. Może nam się zdawać, że wciąż myślimy po polsku, a myśląc po niemiecku, angielsku czy francusku jeszcze nie jesteśmy Niemcami, Anglikami czy Francuzami, ale to tylko złudzenia. Nietrudno sobie wyobrazić wewnętrzne rozchwianie długoletniego emigranta. Cokolwiek by emigranci mówili, wejście w obcą kulturę nie było dla nich procesem bezbolesnym. Samo budowanie od zera nowego środowiska, zdobywanie przyjaciół, kolegów i znajomych, odnajdywania swojego miejsca w obcej mozaice

kulturowej, religijnej, politycznej trwa latami i wymaga wielkiej pokory.

Bycie sobą jest wartością samą w sobie i w tym kontekście należy też oceniać podkreślanie własnej etnicznej czy narodowej odrębności przez Górnolązaków. Jeśli mimo wielowiekowej germanizacji, a po wojnie podciągania pod strychulec „jedności ideowo-politycznej”, wciąż zachowują swoją górnośląską tożsamość, to stoi za tym coś więcej niż koniunkturalizm. Zwłaszcza, że walcząc o ocalenie swojej odrębności przynajmniej nie kombinują już z wchodzeniem w obcą narodową skórę.

CO BYM RADZIŁ ZAKOCHANEJ W NOWOJORCZYKU

Dziewczynie zakochanej w Nowojorczyku poradziłbym, gdyby mnie oczywiście zapytała o radę, żeby dobrze przemyślała, co traci, a co zyskuje opuszczając ojczyznę. Na Zachodzie, w obcym kraju, jesteście gośćmi i to uczucie nigdy nas nie opuści. Nie pozwolą na to tubylcy. Słówkiem, półsłówkiem, albo i wprost dadzą do zrozumienia, że przyjechałeś człowieku skorzystać z naszego dobrobytu, do którego my doszliśmy ciężką pracą, więc docień to i siedź cicho. Dziękuj, że w ogóle pozwalamy ci tu pracować i dorabiać się.

W „Biblii” w „Starym testamencie”, często słyszymy nawoływanie do okazywania litości „sierocie, wdowie i przybyszowi”. Kiedyś intrygowało mnie, dlaczego w tym wezwaniu znalazł się „przybysz”. „Sierotę, wdowę” to rozumiałem, że trzeba pomóc. To są osoby zależne od naszego współczucia, ale dlaczego „przybysz”? Zdrowy człowiek, w młodym wieku, powinien dać sobie radę nawet w obcym środowisku! Dopiero doświadczywszy trochę losu emigranta uświadomiłem sobie, jak bardzo człowiek jest częścią swojej wspólnoty, rodzinnej i narodowej. Kiedyś zdawano sobie z tego sprawę, emigracja postrzegana była jako tragiczna konieczność, jako nieszczęście, przypomnijmy sobie choćby opowiadanie „Latarnik” Henryka Sienkiewicza, dzisiaj, w dobie pomieszania pojęć i języków, zachwała się ją jako

„szansę dla młodych” (A. Kwaśniewski) i starych.

Ciężką pracą możemy się tam dorobić i zapewnić sobie życie na przyzwoitym poziomie materialnym, ale nie na wyższym poziomie, jak niekiedy mówią emigranci. Materialny poziom życia, to tylko ten podstawowy, konieczny, ale nie wystarczający. Na tym poziomie nie odnajdziemy tego, co nadaje życiu sens, co uzasadni i usprawiedliwi cały nasz trud i wszystkie wyrzeczenia. Z tego, co nadaje życiu sens, a nam samym poczucie własnej wartości – z swojej rodzinnej tradycji, obyczajów, z dumy bycia Polakiem – musimy tam zrezygnować, jeśli chcemy, aby nas uznawano za swoich, za pełnoprawnych uczestników życia społecznego.

TRAGEDIA WSPÓŁCZESNEGO POKOLENIA

Nie na tym polega problem, że Polacy nie chcą umierać za ojczyznę, ani nie na tym, że walczą o własny interes, ale na niedostrzeganiu powiązań. Obserwując to z zewnątrz, można odnieść wrażenie przebywania w świecie jakiejś groteski. To, że naukowiec kombinuje, jak zdobyć brukselski grant albo amerykańskie stypendium, to nic dziwnego. Ale kiedy po takim stypendium zaczyna głosić poglądy sprzeczne z polską racją stanu, to już jest głupota. Gdyby go tam zatrudnili na stałe, zapewnili przyzwoite dochody, to byłoby to racjonalne, ale takie przekręty w poglądach obserwuję u ludzi cały czas pracujących w Polsce. Tu robiących karierę naukową. Owszem, trzeba mieć wzgląd przede wszystkim na fakty i prawdę, ale w takich chociażby naukach historycznych ogromnie dużo zależy od interpretacji. Wypadałoby zachować minimum lojalności wobec kraju, który zapewnia utrzymanie, a potem dopiero podkładać się zachodnim mocodawcom.

To samo dotyczy polityków. Jeśli minister polskiego rządu prowadzi politykę, która nasuwa podejrzenia o uległość zachodnim rządów, a potem dowiaduję się, że zasiada w radzie niemieckiej fundacji i kasuje tam pieniądze większe niż jako minister, to – ja się pytam, na co on liczy? Czy sądzi, że

pozostanie w tej radzie, jeśli straci pozycję w Polsce? Że zaproszono go do tej rady ze względu na zalety charakteru albo niezwykły intelekt? Biorąc pieniądze od obcych, staje się dla nas, podatników, niewiarygodny jako minister, gdyż nie mamy gwarancji, że reprezentuje nasze, wyborców, interesy, a nie niemieckich sponsorów. Inna rzecz, że procesy medialnego ogłupienia zaszły tak daleko, że już tego nawet nie dostrzegamy.

DOBRZE ROZUMIEĆ WŁASNY INTERES

Mam wielu znajomych i krewnych, którzy w czasach PRL-u przenieśli się do Niemiec. Kiedy są to prości ludzie, nie mający większych aspiracji ponad ładny dom lub mieszkanie, samochód i wczasy zagraniczne, to przenosząc się wiele nie tracą, często zgoła nic, a możliwości dorobienia się są tam wiele większe. Wiele z tych rodzin żyje tam zamkniętych we własnym kręgu, gdyż nie potrafią dobrze opanować języka, a rodowici Niemcy nie chcą ich zaakceptować. Małżeństwa „naszych” z Niemcami są naprawdę bardzo rzadkie. Pytałem, czy im nie ciąży ta izolacja społeczna. Z reguły padała jedna odpowiedź: – Nam jest ciężko, ale naszym dzieciom będzie już łatwiej.

Nie ma się co dziwić, że ich dzieci nie znają języka rodziców, i nie ma się co dziwić, że spotykani tam tzw. Aussiedlerzy to z reguły ludzie strasznie sfrustrowani, reagujący emocjonalnie i do przesady obnoszący się swoją zamożnością. Oni nie są w stanie uświadomić sobie, jak dużo stracili, ale to czują. Nie są w stanie nawet do tego się przyznać. Raz tylko zdarzyło się, że kolega jeszcze z liceum, którego spotkałem po trzydziestu latach, powiedział – po kilku butelkach – że mi zazdrości. – Ty tu jesteś kimś, a ja tam nikim.

Zaskoczyło mnie to gdyż, w przeciwieństwie do niego, żyłem raczej ubogo, a pozycji też nie zajmowałem wysokiej, on przeciwnie – pracował w drukarni na stanowisku wicedyrektora, miał dom, syna na prestiżowej uczelni.

NIE MA PATRIOTYZMU U WYKLUCZONYCH

Ta moja teoria patriotyzmu jako rozumienia swojego udziału w dobru wspólnym ma swoją negatywną, niechętnie akceptowaną stronę. Otóż, wynika z niej, że nie można wymagać patriotyzmu od ludzi, którzy w określonej wspólnotcie narodowej nie mają interesu. Nie ma się co obrażać na Władysława Frasyniuka za jego wypowiedź o chłopach zdzierających powstańcom buty. Chłopi w Rzeczypospolitej (Rzecz Pospolita znaczy tyle co Wspólna Sprawa) nie mieli wtedy w niej interesu, gdyż ona nie była ich sprawą, nie byli jej pełnoprawnymi członkami. Ich świadomość narodowa obudziła się dopiero – jeśli dobrze znam historię – kiedy w ramach pracy u podstaw przyszli do nich z pomocą emisariusze sfer wyższych, społecznicy, nauczyciele, nauczycielki, księża. To potem zaowocowało. Walcząc o Polskę w latach 1919-1921, walczyli już o swoją pozycję, swoją godność i – co bardzo ważne – swoje szanse na awans społeczny.

Hasło „tam ojczyzna, gdzie chleb” ludzi prostych, a zwłaszcza wykluczonych nie dyskwalifikuje. Oni nie mają udziału w dobru wspólnym, jakim jest ojczyzna, albo mają tylko niewielki udział. Inaczej jest w przypadku ludzi aspirujących do udziału w kulturze, do pozycji społecznej i zdobywania pewnych wartości duchowych. Ci powinni dobrze skalkulować, zanim zdecydują się na emigrację. Ostatecznie chodzi tylko o bardziej ambitne aspiracje życiowe. Można spokojnie egzystować, nie zajmując się problemami, które na pozór nie mają nic wspólnego z moim życiem prywatnym.

UCZULIĆ NA WSPÓLNE DOBRO

Moim zdaniem, problem zaniku postaw patriotycznych bierze się nie z mało patriotycznego wychowania, ale z nieukazywania związku między dobrem własnym, osobistym, a dobrem wspólnym. Na Zachodzie dostawialiśmy gorszą albo lepszą pracę w zależności od opinii, jaką pracodawca wyrobił sobie o Polakach, od tej opinii zależało, czy pozwalał nam pracować bez nadzoru i jakie narzędzia udostępnił. Brak nadzorcy

pozwalał na dłuższe przerwy i pracę według swojego rytmu. Dobra opinia o nas jako Polakach bezpośrednio zatem przekładała się na większe szanse znalezienia pracy i bardziej partnerskie traktowanie. Ta dobra opinia to także nasze wspólne dobro. Pokazując się z dobrej strony, przygotowujemy grunt dla rodaków, wyjeżdżających tam w poszukiwaniu pracy. Może, gdyby młodym ludziom uświadomić, jak bardzo ich osobisty sukces zależy na przykład od dobrej opinii o Polsce i Polakach, nie trzeba byłoby truć o patriotyzmie.

NIEPATRIOTYCZNY MESJANIZM

Nie muszę chyba wyjaśniać, jak bardzo odległe jest to rozumienie patriotyzmu od polskiego mesjanizmu, który patriotyzm rozumie jako „dawanie świadectwa” wielkości ducha, „apostolstwo życia wiecznego”. Powstania, zwłaszcza listopadowe, nie były, jak to się przedstawia w podręcznikach, tylko wyrazem bezinteresownego poświęcenia dla ojczyzny. Wiele w tym było zespołowych i prywatnych interesów. Szlachta walczyła o polską państwowość, w której zajmowała pozycję uprzywilejowaną. Młodzi podchorąży – zdaniem M. Bobrzyńskiego – wywołali rozruchy z nadzieją, że wojna otworzy przed nimi szanse awansu. To, że powstania były źle skalkulowane i z góry skazane na przegraną, to inna rzecz.

Mesjanizm narodowy, który pojawił się po klęsce, miał z początku racjonalne uzasadnienie. Wyjaśniał, że klęska nie wynikała po prostu z faktu, że Polacy, jak ofiara losu, porwali się na czyn szaleńczy, ale z wielkości sprawy. Przegrali fizycznie, jednak zwyciężyli moralnie jak wszyscy, którzy poświęcają się dla sprawiedliwości. Dzięki ofierze powstańców naród zachował poziom duchowy. Dopiero później, kiedy poświęcenie zaczęło być u ideologów mesjanizmu celem samym w sobie, stracił on sens.

Obecnie mesjanizm z góry przewiduje dla Polaków – jak to ładnie ujął Henryk Wencel na łamach „Naszego dziennika” – wieczny „brak stabilizacji, tymczasowość, rzadkie sukcesy

polityczne i gospodarcze, częstsze porywy ducha, a okresowo traumatyczne doświadczenia, przypominające nam, kim jesteśmy. (...) polskość nie jest stanem posiadania. Jest wieczną misją objawioną przez naszych wieszczów. (...) Kto chce naprawdę stać się Polakiem, musi być apostołem życia wiecznego. W świecie lękającym się śmierci i bijącym pokłony mamonie musi dawać świadectwo autentycznej wolności, którą przynosi żywa wiara w moc Zbawiciela. Przebija z tego ogromna ambicja i to należy docenić, gdyż patriotyzm sprowadza się ostatecznie – jak wyżej napisałem – do ambicji określonej wspólnoty bycia niezależną i stanowienia o sobie, jednak w tym wypadku zaszło to za daleko. Nie można wspólnoty narodowej traktować w kategoriach religijnych – to zahacza już o herezję. Mamy być apostołami życia wiecznego jako chrześcijanie, jako Polacy mamy dbać o nasz wspólny, dobrze rozumiany interes.

POSTSCRIPTUM

Chciałem kwestie tożsamości przeanalizować od strony psychologicznej, ale stwierdziłem, że psychologia w ogóle się tym nie zajmuje. Psychologowie rozumieją takie pojęcia jak libido, „ja” idealne i rzeczywiste, kompleks Edypa, dezintegrację psychiczną, ale o tożsamości nie są w stanie nic powiedzieć. Ani, na czym polega, ani jak się ją buduje, ani jak wpływa na samopoczucie i jakość życia. Możemy za to naczytać się o pożytkach z przekraczania wewnętrznych granic i rozmywania tożsamości, m. in. sporo pisze o tym prof. Maria Janion, jeśli dobrze rozumiem, o co jej chodzi. Nie znalazłem nic, co by mi pomogło w refleksji nad kwestią tożsamości, wszystkie więc tutaj uwagi są owocem własnych przemyśleń.

Autorstwo: PiotrZW

Źródło: NEon24.pl